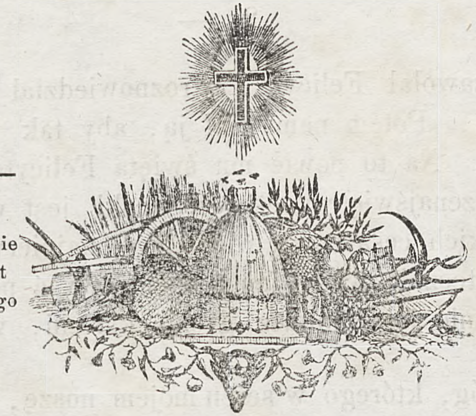
Tom IX. Nr. 1.

1. Lipca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Męczeństwo św. Felicyty i jej synów.

Za bardzo dawnych czasów żyła w mieście Rzymie wdowa pobożna, której na imie było Felicyta. Dał jej Pan Bóg siedmiu synów, których wychowała ona w wierze chrześcijańskiej i w cnocie a uczciwości.

Za onych czasów panował jeszcze w Rzymie cesarz pogański, i ludzi mnóstwo było pogańskich, którzy nie wierzyli w świętą religię chrześcijańską i w Pana Boga i w Pana Jezusa, ani w żadnych świętych pańskich. Cesarz ten i ludzie pogańscy prześladowali okrótnie chrześcijan, tak iż nikt nie mógł otwarcie wyznawać wiarę świętą, bo go wnet umęczyli.

Owóż pewnego razu dowiedział się cesarz o owej wdowie pobożnej Felicycie i o jej synach. Rozkazał wnet swemu staroście, który się zwał Publiusz, aby wdowę oną ze synami zmusił do porzucenia świętej wiary, i do kłaniania się bożkom pogańskim, które sobie ludzie czynili z gliny i kamienia albo drzewa, i uważali je za prawdziwego Boga.

Publiusz zawołał Felicytę, i rozpowiedział jej o woli i rozkazie cesarza. Potem namawiał ją, aby tak uczyniła, jak cesarz rozkazał. Na to powie mu święta Felicyta:

— Bóg przenajświętrzy chrześcijański jest większym panem od wszystkich cesarzów, więc jego najpierw słuchać mi się godzi, i statecznie wiarę jemu dochowywać powinnam.

Na to zacznie jej Publiusz grozić karami, więc ona odpowie:

— Pan Bóg, którego w sercu mojem noszę, umocni mnie, że potrafię wytrzymać najsroższe kary i nie zdradzę go.

— Kiedy ci taka śmierć miła — rzeknie Publiusz — to idź i umieraj zaraz, ale na coż chcesz dzieciom odebrać to życie, któreś im sama dała?

Zaś wdowa święta powie:

— Dzieci moje żyć będą wiecznie z Jezusem Chrystusem, jeżeli mu pozostaną wiernemi; zaś na wieki zginęłyby i zmarniały, gdyby porzuciły świętą wiarę i stały się poganami.

Ujrzawszy poganin, iż prożbami nic nie potrafi u świętej niewiasty, zaczął jej znowu grzecznie mówić:

— Miejże litość kobieto nad swojemi dziećmi. Patrz takie to jeszcze młode, takie piękne, toć mogą najszczęśliwszymi zostać; niech jeno porzucą religię swoję, to ich cesarz weźmie w opiekę, i da im bogactwa i zaszczyty a godności różne, i zostaną najznaczniejszymi ludźmi w kraju

Na to odpowie matka:

— O jedno życie, o jedną tylko szczęśliwość powinni się ludzie starać, to jest o wieczne życie i o szczęśliwość niebieską. Kto wiarę świętą porzuca, ten utraca życie ono i szczęśliwość wieczną, ten nigdy znacznym i szczęśliwym nie będzie. Do takiego nieszczęścia i do takiej hańby, nie powinna żadna dobra matka prowadzić dzieci swoje.

Potem odwróciwszy się do synów, tak im powie:

— Dziatki moje! widzicie to niebo tak piękne? Tam was czeka Jezus Chrystus. Wytrwajcie w wierze świętej, a zbawicie dusze wasze.

Za te słowa kazał pogański starosta katować biciem niewiastę świętą, a widząc iż z nią nic nie potrafi, zaczął nama-

wiać synów po jednemu, aby go usłuchali, porzucili wiarę chrześcijańską i kłaniali się bożkom pogańskim.

Na takie namawianie odrzekł najstarszy syn January:

— To co mi doradzasz, jest bezbożność, i mam nadzieję, iż mnie Pan Jezus uchowa od niej.

Starosta kazał mu za to szarpać ciało rózgami i rzucić do więzienia, a zawołał drugiego brata.

Ten zwał się Felix, i nie dał się także namówić, ale odpowiedział poganinowi:

— Jednemu tylko Bogu niesiemy ofiary, i nigdy nie zapominamy wiary winnej Jezusowi Chrystusowi. Więc największemi nawet okrócieństwami nie potraficie nam odebrać wiary naszej świętej.

Zaś trzeci syn Filip odpowiedział:

— Jeden tylko jest Bóg prawdziwy, a wasze bożki są bałwany jeno, którym wstyd i nierozum kłaniać się a składać ofiary.

Starosta okrótnie się rozgniewał i wściekał, a potem rozkazał przyprowadzić czwartego syna Sylwiana, który mu odrzekł:

— Śmierć nic nie jest strasznego, ale straszne jest wieczne potępienie. Jakżeż moglibyśmy bać się śmierci, a nie lękać się wiecznego potępienia?

Kiedy przyprowadzono piętego syna Alexandra, rzecze mu starosta:

— Młodzieńcze! miej litość nad sobą, ocal życie twoje; pokłoń się bożkom naszym, a będziesz mieć łaskę cesarza.

Ten odpowiedział:

— Ja służę potężniejszemu panu jak cesarz, bo Jezusowi Chrystusowi. Ja noszę jego w sercu, uwielbiam ciągle i chwalę ustami. Także chcę zostać wiernym Bogu mojemu, więc nie uważam na młodość moją.

Potem do szóstego syna Witalisa powie starosta:

— Ty masz za wiele rozumu, abyś miał szukać śmierci niepotrzebnie.

Zaś ten odrzekł:

— Prawda iż kocham życie, ale nad to życie kocham Boga mojego.

Kiedy stanął przed starostą najmłodszy syn Marcyal, zaczął go on namawiać i straszyć okrótnemi karami. Wtedy odrzekł ostatni syn zacnej niewiasty:

— Gdybyś ty wiedział starosto, jakie okrótne męki są dla tych przygotowane, którzy bałwanom się kłaniają a nie wierzą w Boga prawdziwego, tobyś mnie pewnikiem nie namawiał do grzechu.

Starosta kazał ich katować i męczyć, a potem poszedł do cesarza i uczynił mu sprawę. Cesarz poganin skazał wszystkich na śmierć. Więc najstarszego zabito kijami, dwóch maczugami, czwartego rzucono głową na dół do przepaści, a trzech najmłodszych ścięto mieczem.

Matka tych męczenników modliła się za nimi, aż ją na ostatek także ścięto, i poszła do nieba za dziećmi, i razem z niemi została świętą męczenniczką.

Pamiątkę ich męczeństwa obchodzi kościół święty 10 lipca, a wszyscy prześladowani i umierający po męczeńsku za wiarę, mają w nich patronów świętych.

Patrzcież moi mili, jaka to dziwnie piękna dla nas nauka.

Ta święta matka jest pięknym przykładem. Nia żałowała ona dzieci swoich dla dobrej sprawy jeno dla złego. Pokazała ona, iż największem nieszczęściem nie jest śmierć, jeno grzech. Zaś śmierć za wiarę świętą jest szczęściem, bo za taką śmierć otrzymuje człowiek zbawienie duszy i żywot wieczny.

Kto za mnie umiera, ten ze mną wiecznie żyć będzie, a kto się mnie wyrzeka, tego i ja się wyrzeknę — powiedział Chrystus Pan.

Otóż moi mili, ztąd taka idzie nauka, iż człowiek każden, każden chrześcijanin powinien mocno stać przy świętej religii, powinien on tak kochać Boga i wiarę, żeby nawet gotów był umrzeć lepiej, aniżeli zdradzić Boga lub wyprzeć się wiary swojej, powinien on zgoła taki być dobry chrzescijanin, jak święta Felicyta i jej synowie.

Zaś aby takim był, niech się modli do nich o opiekę i błogosławieństwo, najbardziej teraz, kiedy niebawem będzie ich święto.

Śpiewka o żniwie.

Srebrne kłosy, złote kłosy, chylą się po błoni,
Przepióreczka gospodarna między brózdy dzwoni:
Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć
Dobrzy ludkowie;
Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć
Po dobrem słowie.

Srebrne kłosy, złote kłosy, a dyć się czerwienią,
Niby listki na brzezinie hen poźną jesienią,
Hejże, hej! co też to?
Ludzie pytają,
Dobro li czyli zło
Te kłosy rają.

Zturbowany ludek chodzi, i duma i gwarzy,
I modli się już i w trwodze patrzy co Bóg zdarzy,
Aż tu kłosy — cud! cud!
Z szumem powieją
I gadkę między lud
Taką rozsieją.

Srebrne kłosy, złote kłosy, temu zczerwieniały,
Bo na ziemi tej ludziska dużo krwi przelały
A to czerwonej krwi
I z polskich dzieci,
Więc też krew złoto ćmi
I śrebro śnieci.

Dzieci krew do nieba woła, hej bracia, ojcowie,
Jedzcie chleb zaczerwieniony, parobcy, gazdowie,
Żniwo chleb krwawy da
Boć to już i czas,
Nasze żniwo, kosy ha!
Hej! ha! kosy wraz.

Srebrne kłosy, złote kłosy ścięte już na błoni
A przepiórka gospodarna jeszcze ciągle dzwoni:
Pójdźcie żąć, pójdźcie wraz
Dobrzy ludkowie,
Kosy wraz, bo już czas
Po krwawem słowie.

Kościółek w Kamionce wielkiej w Sądeczyźnie.

Nowy włodarz Kamionki obejrzawszy gospodarkę aż się wzdrygnął; boć niepocieszne na wstępie usłyszał nowiny. Było to na przednowku, ludzie jedli miętkę i oset młody a nigdzie w świecie nie było ról tak czystych i wypielonych jak tam, bo głód je pielił, i ubóstwo na strawę. Było to w parę lat po onym strasznym głodzie i pomorku, jaki pamiętają jeszcze dobrze ludzie. Wtedy trzecia część wioski wymarła na durzycę pogłodową, a ośmdziesiąt kilka wymarłych chałup stało pustkami, nawet je zamknąć nie było komu. Pozostali jedli znowu trawska i owies zomełłciem, więc się chwiali, puchli i padali. Kto zaś nie marł głodem, zalewał się gorzałką, nabytą zwykle za drzewo kradzione w lasach dworskich lub sąsiedzkich sołtysich i ruskiego ościennego xiędza. Kościółek murowany smutno wyglądał. Staroświecki piękny ołtarz wielki roztrzepany poniewierał się pod okapem i w kostnicy, a piękne malowidła na złoconem tle stały w kruchcie niezamkniętej, oparte o ścianę. Posadzka kamienna gdyby kamieniec nierówny; na chór drabina przystawiona i tylko ściany pomalowane od biedy. Szkoła stała pustą a na jedynej ławce prosiętom nać krążano. O uczniach ani mowy, ledwo pięcioro czy sześcioro mógł do kupy zebrać pleban miejscowy.

A przecież xiądz pleban życzliwym był dla ludu i radby był otrząść go z biedy i nędzy, i rad był nauczał dzieci w szkole i w sadzie i pasiece, a sadownik to zawołany i pszczelnik nie pośledni. Lecz trudno! Wioska niegdyś kościelna, później kameralna, w końcu prywatna, w której na 700 mieszkańców było 3 gorzelnie, 7 karczem a propinacya szła 750 renskich srebrem, taka wioska musiała marnieć. Przecież czwarta może część dzieci były same głuptaki i sietniaki, a lada baba umiała ugasić wódkę, jeżeli się komu w gardle zapaliła. Więc też mimo dobrej xiędza chęci nie było ni Bogu chwały ni ludziom pożytku.

Nowi dworu mieszkańce naradzali się z xiędzem, jakby poradzić na tę biedę. Uradzono zacząć od kościoła; dwór wziął

na siebie część i nie czekając sprawił do kaplicy obraz duży malowany na miedzi o złoconych ramach a piękne starożytne malowania wielkiego ołtarza naprawiono. Lecz gromada ani rusz; bogatsi pili, biedniejsi marli głodem. Do roboty wysyłano same dzieci. Tak schodził rok i drugi.

Dwór postarał się o dobre letkie pługi, do czeskiego ruchadła dodając trzusło z boku witką żelazną do prostego grądziela mocno przymocowane, a dobrze w zagon puszczone. Lemiesz wygięta należycie, przybliżona do płużycy tak, że nie przewracała tylko dobrze stawiała skibę. Po nad lemieszową blachę zaś skośno do góry szła drewniana okładniczka wisząca, przymocowana do słupicy i do rogu prawego, ale nie poziomo tylko do góry, tak iż podniesioną i pokruszoną skibę do reszty przewracała. Takich pługów używają w krajach gdzie gospodarstwo najlepsze na całej ziemi, a często orzą jednym wołem. Dwa więc byczki górskie, niewielkie lecz krępe, bez trudu orały na 6 cali w głąb, byle tylko grądziel szedł górą, na wysokim przodku. Czeladź polubiła sobie te pługi, bo to letkie i sprawne i ani wyskoczą ani szarpią.

A dwór starał się o dobrych parobków i przyjął między innymi dwu, którzy za dobrych robotników uchodzili, co się to żadnej roboty nie powstydzą. Jednemu było Klimek a drugiemu Janek. Skoro przyszło wiosnować, obaj dobrzy parobcy. obaczywszy niewidziane dotąd pługi zawołali:

Jo ta! nie bede taką masyną orał!... i dalej w nogi, uciekli od pługów, bydła i drugich parobków.

Co tu począć, kusa rada, czas wielki siać owies. Więc oba Jaśki poganiacze pójdźcie sami! Jeden był synem poczciwego młynarza Jurczyka, chłopiec dobry i usłuchliwy. Drugi zwał się Jasiek Dobosz, a mieszkał przy matce i braci na samych wierchach od nowojowskiej styki, na dworskiem polu.

Biedna to była rodzina. Żyją dotąd i poświadczą sami, jako raz tylko na dzień jadali, a dla powstrzymania głodu popijali letnią wodę i pasem się mocno ściągali. Niechta Bóg broni każdego od takiej biedy. A przecież robić się im nie chciało, woleli tylko kuczeć przy ogniu i dymek łykać, niżeli iść na robotę, choćby na letką. Matka ich tak wychowała i

wraz z nimi biedowała, że pożal się Boże! Więc też czy owoc w sadzie, czy kłósko zboża, czy karpiołek na zagonie, brali bo głodni. Z wielką trudnością i nawet oberwawszy po czuprynie, Bóg świadkiem, że nie ze złości lecz gdy już nie było innego sposobu, bo zapadał w oną otrętwiałość, za którą idzie niemoc i śmierć, zszedł przecie Jasiek do dworu poganiać. Dostał jeść, odżył, więc poganiał, zarabiał i wnet odzyskał siły i krypcie sprawił i koszulę i pas i kapelusz i myślał już o górnicy sukiennej a nawet się wygadał, że jeżeli się nauczy kosić i orać, to się ożeni z Margośką córką zmarłego leśnego dworskiego, z czego sobie parobcy dość nakiepkowali.

Owoż Jaśku Doboszu pojdź sam! poganiaj! a ty orz, tak jak ja. Przypatrz się, pług trzymaj letko, nie spieraj się na nim ani drzym.

Popróbował młynarczyk raz, drugi, i uorał krętą skibę na miękkiem ziemniaczysku. Druga skiba także kręta i trzecia, czwarta lepsza, piąta jeszcze lepsza, coraz lepiej lecz zawsze kiepsko. Ludzie idą na targ do Nowego Sącza, a na każden targ po troje z chałupy chodzi, a wszyscy wraz kupią pół funta soli, ale iść muszą koniecznie gwoli napitku, tak nawykli za dobrych czasów. Więc przechodząc śmieją się, że pan sam orze z dwoma poganiaczami, kiepkują sobie ile sami chcą. A na górze nad Basiagą siedzą obaj parobcy zbiegowie i widząc orkę oną, śmieją się aż ich boki bolą.

— Teraz probójcie sami, a po godzinie przyjdę tu do was.

Po godzinie próby już lepiej idzie. A więc na czyste; sa! brzozoń! sa kwiatoń! — jakoś to będzie. Do południa pokaleczyli chłopcy kawał ziemniaczyska, kiepsko bo kiepsko, lecz zorali.

— Po południu wyjedziecie w ugor, a który się nauczy orać bez poganiacza, dostanie nowy kapelusz i z wstęgą czerwoną na 3 palce.

Od południa parobcy wzięli między siebie Jaśka młynarczyka, jeden mu w orał, drugi rozejmę wyorał, i jakoś szło. Ale Dobosza nie chcieli uczyć, tylko kiepkowali z niego, więc nieborak przeczekał na włodarza i dopiero przy nim nieśmiało jął się pługa, przeżegnawszy krzyżem świętym. Woły ruszyły

żwawo bo były wprawne, bez poganiacza chodziły na słowa sa! lub: heć! — ugór był krewki, pług dobry, więc poszła skiba prosto, druga jeszcze prościej a po kilku skibach szło mu jak chleb z masłem. A zbiegowie parobcy na górze siedząc już się nie śmieli ale się cudowali:

— Widzisz ty! tać te bezkurcye oba orzą! tać oni orzą bez poganiaczy!...

A oba Jaśki orzą a orzą, aże miło. Drobniutki deszczyk zarosił właśnie, kiedy Dobosz wyorał ostatnią skibę prostą, gdyby wymierzoną. Z uśmiechem radości dojeżdża styki i mówi:

— Ej! chyba już potrafię orać proszę Jegomości!

Na to uszłyszał odpowiedź:

— Słuchaj Jaśku!...

— Słucham Jegomości!...

— Ty będziesz orał, bo ot sam Pan Bóg błogosławi twej chęci, i kropi cię deszczykiem wodą, którą poświęcił w niebie. Powinieneś też podziękować panu Bogu, bo odtąd jako oracz będziesz więcej zarabiał, a jak Bóg da to się i kosić nauczysz i siać i Margośka może być kiedy twoją i możesz być gazdą lepszym od twego brata co przy nim siedzisz. Proś że Boga! a na podziękowanie pół reńskiego zanieś xiędzu plebanowi, jako ofiarę na odnowienie ołtarzy.

— A to niechże mi Jegomość dadzą to zaraz zaniosę a potem odrobię. Dostał pieniądze i co tchu skoczył na bliską plebanię; upadł xiędzu do nóg i oddał ofiarę na podziękowanie Bogu, że go pan nauczył orać! — Potem orał dalej i zorał tyle co i drudzy i nie gorzej od tamtych.

Przy wieczerzy parobcy już nie kiepkowali z niego, a wieczorem, pasterka dworska pożyczywszy sobie dwie szóstki pobiegła też na plebanią i dała zdziwionemu xiędzu także na ofiarę na odnowienie ołtarzy.

W sobotę parobcy zbiegowie wrócili jak niepyszni i przeprosili pokornie.

Lecz już nie orali tylko włóczyli bronmi a obaj poganiacze orali dalej.

W niedzielę po kazaniu xiądz pleban z ambony publicznie podziękował Doboszowi i pasterce dworskiej, że najbiedniejsi

najprzód pospieszyli z darem; modlił się za nich o błogosławieństwo boskie i przytoczył słowa Zbawiciela: prędzej wielbląd przejdzie przez ucho od igły, a niżeli bogacz do królestwa niebieskiego. A gdy xiądz mówił, to było cicho że mak siej.

Po sumie zasiedli gazdowi w karczmie i rozpoczęła się rada gromadzka.

— Co on sobie myśli ten Jasiek Dobosz! czy on chce całej wsi przewodzić i ta pasterka dworska? — Cóż my to mamy być podlejszego! ja tego nie dopuszczę! ja dam 10 reńskich śrebra na ołtarz! żebym miał jałówkę przedać!...

— Kiedy wy dacie? to i ja dam 10!

— A ja 5 —

— I ja 5 — I my po papierku! zawołali parobcy dworscy!

I w mgnieniu oka złożyli 35 reńskich i zanieśli xiędzu plebanowi.

Uradowany xiądz przybiega do dworu dziękując za dobry początek.

— A więc! w imię Boże! sprowadzić pozłotnika!

— Dobrze! tego pijaka krakowskiego! ale go pan musi do dworu wziąć. Na pustej sali mogą robić, a jak będą pić.. to go chyba cybuchem! —

— Tak i ja myślę! zarobek dać lecz roboty żądać. Doglądnę i poradzę.

W kilka dni przyszedł pozłotnik niegdyś majster krakowski, obdarty i bosy, z synem dorosłym. Przystali na wszystko równie jak i ich żądania przyjęto. Nuż zbierać cząstki ołtarza starożytnego, nuż naprawiać, zbijać, kleić, malować w staroświecki sposób, złocić, lazurować. — Koniec końcem stanął wielki ołtarz, i ołtarz w kaplicy, aż się wszyscy zdziwili. Gromada złożyła przeszło 200 reńskich t. j. 800 złotych polskich.

Starożytny wielki ołtarz stanął na dawnem miejscu poważny i piękny, pobudzając do kornej modlitwy. W kaplicy ustawiono na powrót ołtarz stary. Ludu zchodziło się do kościoła dwa razy tyle co wprzódy, bo każden chciał oglądać swój datek na chwałę bożą. Tak sobie upodobali swój kościółek, że na wyścigi dawali co kto mógł. Do najbogatszych należą: Cępa Jan

i Basiąga Józef. Inny na chleb tyle nie wyda w roku co Cępa na krople i arak, a chodzi zawsze w czerwono wyszywanej koszuli; górnicę zaś na siwo kazał pofarbować i dorobić jej zielony kołnierz wykładany, więc wygląda gdyby karbownik jaki niemiecki. — Basiąga znów wysłużony żołnierz postawił młyn i chce folusz przybudować; więc na obu gromada oczy zwraca — bo obaj hardzi chłopi.

Przy kroplach powadzili się w karczmie, pochwycili za kołnierze, wiodą do dworu:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! Cóż tam powiecie?

— Wielemożny panie! co on mi ma nogi podrywać?...

— .... Co on mi ma podrywać? ja taki dobry jak on!...

— Ja chciał kazać wyzłocić koronę na chrzcielnię — on posłyszał o tem i dał zadatek!...

— To wy dajcie zadatek na antepedium,

— ... Ale co on ma mi podrywać?... Ja mu nie daruję!

— Darujcie Panu Bogu antepedium i zemstę, to podobno będzie lepiej, niż diabłu sprawiać uciechę! — Jasiek Dobosz nie z gniewu dał co mógł.

— A jużcić prawda!

— Więc pocałujcie się i idźcie zamówić antepedium.

Pocałowali się, ukłonili i poszli w zgodzie, a krakowski pozłotnik na zgodę i umowę upił się z nimi samotrzeć.

Po ukończeniu robót zjechali się xięża na odpust i bardzo im się podobało. Więc xiądz Augustyniak bernadyn z Kalwaryi miał kazanie pod lipą i mówił do ludu:

Hej! grzesznicy wejrzyjcie w siebie! i bierzcie przykład z tych ubogich Kamionczan! — niedawno marli głodem i gdyby bydlęta nieme trawą i zielskiem żywili dziatwę swą i siebie, bo zapomnieli o Bogu i cnocie, i żyli według zakonu djabła grzesznego. Gdyby nieme bydlęta bezduszne, zapici gorzałką leżeli w błocie po drogach i koło karczmy; a okoł kościelny zarósł chwastem, a ołtarze zwalone poniewierały się pod tym okapem! — Piekło radowało się! anieli płakali. Aż oto, Bóg wejrzał okiem miłosierdzia; biedne pastusze nauczyło się orać i dziękując Bogu, złożyło na ołtarzu owoc dziennego trudu i

pracy; za niem poszło drugie! — za biednem sieroctwem poszli bogaci i dzwignęły się ołtarze pańskie i przyozdobiły się w nową szatę. I cóż się dzieje? Kuba Bogu, Bóg Kubie! — Po latach nieurodzaju patrzcież jak pięknie obrodziły im pola, jak utuczyło się zdrowe bydełko, a dziatwa ich rumiana z książeczek Boga chwalić zaczyna! — Hej grzesznicy! dokąd wy się odwracacie od Boga, on się odwraca od was, opuśćcie piekielne ścieżki, wróćcie się ku niemu a zleje na was dary swoje. Za przykład bierzcie sobie tych Kamionczan. A wy Kamionczanie! doznaliście łaski Boga skoroście się nawrócili; lecz doznacie chłosty, nędzy i potępienia skoro popadniecie w dawne grzechy: pijaństwo, złodziejstwo, niecnotę i lenistwo! —

Lud zgromadzony cicho był, że mak siej; ni kaszlem ni szmerem nie przerywał kazania, bo pojmował i czuł mądrość słów. Obcego ludu było nie mało, co ich ciekawość sprowadziła. Więc się to wszystkim podobało. Kamionczanie uradowali się że ich poczczono, a sąsiednie gromady postanowiły odnawiać także kościółki swoje.

Jasiek zaś Dobosz nauczył się kosić i wyrobił się na doskonałego parobka, a w końcu ożenił się z swą Margoską. Nie potrzebuje mrzyć głodu i popijać letnią wodę bo ma co jeść, a dokąd nie opuści ścieżek Boga a nie zacznie chadzać krętemi ścieżkami piekielnemi, Bóg będzie z nim!

Co to jest szczęście?

Dobrze to powiada przysłowie: Pan Bóg wie najlepiej, czego komu potrzeba, i każdemu człowiekowi dał taki stan, jaki dla niego najlepszy. Otóżto rzecz bardzo nierozsądna, kiedy kto narzeka i biaduje na swój stan, zazdrości drugim i nigdy niema ani spokoju ani wesołości. Tym sposobem nie będzie on nigdy pełnił swoje obowiązki jak najlepiej, a kto je nie wypełnia, ten szczęśliwym być nie może.

Już ci każdy przyzna, że szczęście nie jest w tem, aby mieć majątek, aby kieszenie groszem były napchane a brzuch tłustą strawą. Już ci nikt nie powie także, aby ten, co się naje,

napije i wyspi, co to cały dzień Boży przy misce pełnej przesiedzi, albo na zapiecku przeleży, aby taki człek był już szczęśliwym jak się patrzy. To próżniaczysko moi mili, nieroba i leniuch, któremu zasię od prawdziwej przyjemności, a tyle chyba ma on szczęścia co zwierze bezrozumne, co to obżarte legnie w błotnej kałuży.

Otóż widzita moi mili, że szczęście to rzecz całkiem inna od majątku a od jedzenia i napitku. A teraz pomiarkujcie sobie, co też to jest właśnie prawdziwe szczęście.

Jestto najbardziej czyste i spokojne sumienie. Kto ma takiego robaka we środku, co mu ciągle przypomina grzech jaki, ten nie zazna szczęśliwości, choćbyś go obłożył dokoluśka pirogami i jajecznicą, choćbyś go smarował miodem i najlepszą okowitą, a posadził na całym worku dukatów. Takto już Pan Bóg stworzył człowieka, iż potrzebuje on do szczęścia spokoju w sumieniu i ukontentowania ze siebie samego, iż wypełnił swoje obowiązki a żyje uczciwie według przykazań boskich.

Teraz idzie jeszcze o to, jakim sposobem ma człowiek uchować spokój sumienia i jak on ma wypełniać swoje obowiązki.

Jest na to bardzo krótka rada. Każdy człek uczył się przecież religii świętej i umie pacierz. Otóż niech jeno chroni się od wszelkiego grzechu, niech nikomu krzywdy nie czyni, niech będzie bogobojny a sprawiedliwy, więc i sumienie będzie miał czyste.

Zaś wedle drugiego, wedle wypełniania obowiązków, jest taka sprawa. Pan Bóg nie stworzył ludzi dla próżnowania a dla lenistwa, jeno dla pracy. Każdy człek na to jest, aby coś robił, aby był użytecznym, aby słońce po próżnicy nań nie świeciło, a ziemia go nie żywiła. Otóż każdy człowiek ma swoją pracę, swoje obowiązki i swój stan.

Każdy więc człowiek ma najpierw dobrze zmiarkować, do czego też on jest stworzony, a kiej już sobie wybierze pewną pracę i pewien stan, wtedy ma się jąć tej pracy całemi siłami i całą ochotą, a nie zaniedbywać jej nigdy, nie odkładać na czas późniejszy, bo jeno ser odkładany dobry, a więcej nic.

Da Bóg doczekać w zdrowiu, to wam później moi mili dokładnie opiszę, jakie są obowiązki każdego człeka i każdego

stanu. Teraz wam tylko powiem, iż niech jeno każdy swoje robi, niech pracuje w tym stanie jaki mu przypadł, niech się chroni złego i grzechu, a nie będzie pewnikiem narzekał na biedę i na brak szczęścia.

Zaś najbardziej pamiętajcie dobrze, że szczęście nie jest nic innego jeno sumienie spokojne, że tego szczęścia nieda żaden majątek a najbardziej żadna krzywda ludzka.

Pogadanki ogrodnika.

Bartek Marchewka jest już ze czterdzieści lat ogrodnikiem, a iż człek pracowity i pilny, więc doskonale zna swoją rzecz, i doświadczony a zmyślny jak mało. Chodzą też do niego ludziska po radę, jakby procesyą, a on ci każdemu powie sposób i każdego nauczy dokumentnie jak sobie ma poczynać.

Niedawno przyszły do niego aż trzy gosposie od razu, więc Walkowa Bruździanka, Kaśka Fedorowa i Marychna Kuczabowa. Poczną kobiety trajkotać Bartkowi przeróżne skargi.

— A to moiściewy — pytluje Walkowa — te obrzydłe robactwo oblazło mi ogórki i melony, co ich to zawsze bywało furę rozprzedam przez lato, i już nie wiem jak sobie w tem poradzić.

— Zaś Bartoszu przerywa Kaśka — mój śliczny groch cukrowy hen wróbliska rozdziobują, iż mi się na płacz zbiera, że na to nie mam rady.

— Co to znaczy — huknie Marychna — toto mnie kłopot i nieszczęście. A to pomiarkujcie sobie, cosik mi napędziło do ogrodu wszystkie szczury i króliki z całej wsi, i tak mi borykają grzędy i pustoszą jak Moskale. A to już skaranie Boże powiadam wam, i żebym to choć jednego mogła ująć w garść, a dałabym mu za swoje.

Bartek wysłuchał spokojnie, a jak się już babiny wygadały, powie im:

— Zaraz ja wam dam lekarstwo na te wszystkie nieszczęścia. A to niech sobie każda kupi pieprzu za kilka groszy

i niech go utłucze na proszek. Więc wy Walkowa okurzcie nim wasze melony i ogórki, a robactwo nie tknie się już ich więcej. Zróbcie tak samo Kaśko, a już wam wróble nie będą gospodarować i płakać nie będziecie. Także i wam Marychno zda się ta rada, a jak wygrzebaną ziemię posypiecie pieprzem utłuczonym, to się króliki i szczury wyniosą za dziewiątą górę.

— Ej! czy to nie żartujecie Bartku, — zapytają kobiety zafrasowane.

— A no — mówi Bartek — toć ja przesięgać na to nie mogę, ale wiem że mi się ten sposób nieraz nadawał. Zaś popróbójcie na sobie, i weźcie na języki trochę pieprzu, a zobaczycie jakie to mocne, że aż oczy na wierzch wyłażą i językiem nie można w gębie obrócić. Ta i czegoby się chwytały takiego przysmaku owe zwierzątka a nie uciekały przed nim.

— A no sprobujemy powiedzą gospodynie, i pożegnawszy Bartka, chciały już odchodzić. Wtedy zawoła na nich stary ogrodnik śmiejący:

— Zasię moje miłe, a pamiętajta że to także dobre lekarstwo na bezbożny język, kiej się nadto rozigra a miele bez potrzeby.

— Poczekajta figlarzu stary, znajdziema i na was despekt— zawołały babiny, i także śmiejący poszły do domu.

Inną razą a jeszcze na wiosnę zeszedł się Bartek na łące z Wojtkiem Bałandą, który właśnie obchodził swoją łąkę, i drapał się w głowę okrótnie zafrasowany.

— Co ci to Wojtku — spyta ogrodnik — ta czegoś taki zafrasowany?

— Ba! — mówi Wojtek — a czegóż nie mam się frasować, kiej mnie już ta łąka okrótnie mierzi, bo trawa jak zaklęta nie rośnie; jeno ten mech obrzydliwy, a paszy mi co roku zabraknie.

— Wielka rzecz powie Bartek — niby to tak trudno poradzić sobie.

— Jużci że trudno, kiedy człek nie zna sposobu — odpowie Wojtek.

— Sposobu nie znajdziesz na drodze, ale trzeba o niego popytać ludzi, to i mieć go będziesz. Ot patrzaj, ta łąka za wilgotna, więc wykop najpierw rowy dla osuszenia. Zaś potem wybronuj łąkę doskonale, bo to pomaga trawie rosnąć i wyzbieraj mech, który trzeba zgarnąć i albo spalić albo na oborę wziąć na podściułkę. Kiej się z tem dobrze sprawisz, to nakoniec rozsiej bo łące mieszaninę z popiołu i wapna, a trawa urośnie ci jak las.

Wojtek posłuchał, zrobił wszystko tak, jak mu powiadał stary ogrodnik, a teraz ma na łące taką śliczną trawę, jakby ją siał naumyślnie. Cosik temu z tydzień, jak zapraszał Michałka Gazdę aby mu pomógł skosić, bo sam nie mógłby dać rady prędko, a niebezpieczno teraz rachować na długą pogodę i marudzić ze sianokosami.

RÓŻNOŚCI.

Do czego prowadzi nauka. Niedawno uczynił ojciec święty Kardynałem pewnego xiędza francuzkiego Billeta; xiądz ten jest synem wieśniaka, i w młodości aż do pietnastego roku pasł owce ojcowskie. Zaś przez naukę i uczciwość doszedł do tego, iż teraz jest jednym z najznaczniejszych panów i xięży. Patrzcież moi mili, do czego to prowadzi nauka.

Urwanie chmury. Dnia 10 czerwca była w okolicach Podhajca w obwodzie Brzeżańskim okropna kurza, i urwanie chmury. W kilku chwilach urosły potoki i suche zazwyczaj rowy w strumienie, woda wciskała się do wielu domów i cała prawie okolica stanęła pod wodą. Jużci jest z tego szkoda znaczna, najbardziej w zasiewach i jarzynach ogrodowych, a także zginęło 5 dzieci wiejskich, które się przed burzą schroniły do kanału przy gościńcu, a woda je uniosła i zatopiła.

Pożary. Dnia 20 czerwca wieczorem uderzył piorun we wsi Rzeczyce w obwodzie żółkiewskim, w stodolę kmiecia Hrynia, a iż był wiatr straszny, ogień zniszczył 12 chałup z budynkami gospodarskiemi. Szkody jest na 20 tysięcy reńskich.

Zaś w Kamionce Piratyńskiej w tymże obwodzie powstał 25 czerwca ogień przez nieostrożne strzelanie podczas wesela, i spalił dwa domy kmiece a 13 budynków gospodarskich. Szkody jest także na 8 tysięcy reńskich.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**